

Joanna Kalicka: Historia jak z filmu

Inauguracja Domu Terroru w Budapeszcie odbyła się dzień przed wspomnieniem ofiar komunistycznej dyktatury. Tłumy na otwarciu były zapowiedzią sukcesu muzeum



Dom Terroru to muzeum „wielkiej narracji”, w której brak miejsca na niuanse – a mimo to broni się ona jasnym przekazem, wzywając do tego, by szukać w historii wzorców etycznych postaw i pod żadnym pozorem nie zapominać o zbrodniach z przeszłości.

Turysta, który wyruszy z monumentalnego placu Bohaterów w beztroski spacer po najpiękniejszym budapeszteńskim bulwarze – ulicy Andrassyego – napotka wkrótce niespodziewany dysonans w jednolitej, wielkowiejskiej zabudowie. Kamienicę pod numerem 60-ym wyróżnia nietypowa, stalowo-błękitna barwa ścian i wysunięty gzyms, okalający jej fasadę na podobieństwo ogromnego passe-partou. W tę ramę wpisano dwa symbole – strzałokrzyż i pięcioramienną gwiazdę wraz ze słowem „terror”. Budynek - w latach trzydziestych siedziba faszystowskiej partii strzałokrzyżowców, a po wojnie urząd bezpieczeństwa Węgierskiej Republiki Ludowej - jeszcze w latach dziewięćdziesiątych wyróżniał się spośród sąsiednich domów jedynie pamiątkową tablicą przypominającą o jego przeszłości.

Zmiany rozpoczęły się w 1998 roku – wraz z dojściem do władzy centroprawicowej koalicji pod wodzą Viktora Orbana. 24 lutego 2002 roku, blisko 100 tysięcy osób wzięło udział w otwarciu w tym miejscu muzeum upamiętniającego zbrodnie faszystowskiej i komunistycznej dyktatury. Wiele z nich przyniosło ze sobą świece i węgierskie flagi. Inauguracja Domu Terroru odbyła się dzień przed ustanowionym rok wcześniej oficjalnym wspomnieniem ofiar komunistycznej dyktatury. Tłumy na otwarciu były zapowiedzią sukcesu muzeum, które w ciągu 9 lat istnienia odwiedziły 4 miliony gości. Dom Terroru trafił też do przewodników, jako jedna z istotnych atrakcji miasta obok muzeów sztuki czy zabytkowych dzielnic. W czym tkwi tajemnica jego popularności?

Odwiedziny w Domu Terroru przypominają seans filmowy – o sukcesie obrazu decydują dramatyczny, momentami wręcz przerażający scenariusz, pieczołowitość i realistyczność scenografii oraz specjalnie na tę okazję skomponowany, potęgujący emocje soundtrack. Siłę oddziaływania opowiadanej historii dodatkowo wzmacnia oparcie jej na faktach. Jednak mamy do czynienia nie z filmem, a z ekspozycją muzealną, której atrakcyjność nie zawsze idzie w parze z wiernością szczegółom i odpowiednio zniuansowanym przekazem.

Ekspozycja dzieli się na dwie części: pierwsza prezentuje historię terroru na Węgrzech od II wojny światowej po 1956 rok, druga – odtworzone na podstawie relacji więźniów podziemia, w których byli oni przetrzymywani i torturowani. Niektórych z nich spotkała tam śmierć przez powieszenie, której techniczną stronę opisuje w windzie zjeżdżającej do piwnic człowiek odpowiedzialny za sprzątanie pomieszczeń w ówczesnej siedzibie służby bezpieczeństwa. Wizyta w podziemiach to zdecydowanie najbardziej wstrząsający moment wizyty – wydaje się, jakby dopiero przed chwilą opuścili je oprawcy i ich ofiary. Do tego widoku przygotowuje zwiedzających podzielona na tematyczne sale ekspozycja w górnej części budynku. Z otwartych galerii na wszystkich piętrach widać ustawiony na parterze czołg – symbol opresji i przemocy oraz ścianę zapełnioną czarno-białymi zdjęciami osób, które straciły życie w murach budynku przy Andrassyego 60.

Zwiedzanie rozpoczyna się na drugim piętrze od sali prezentującej losy Węgier podczas drugiej wojny światowej. Dwa kolejne pokoje poświęcono dyktaturze „węgierskich nazistów”, czyli strzałokrzyżowców, którym Hitler powierzył władzę w okupowanych

Węgrzech w październiku 1944 roku. Jest to zaskakująco mało w porównaniu z 21 pomieszczeniami poświęconymi okrucieństwom węgierskiego komunizmu, nawet jeśli weźmie się pod uwagę różnicę w długości trwania obu reżimów. W historycznych komentarzach dominuje wizja Węgier jako ofiary traktatów z Trianon, które w 1920 roku pozbawiły kraj 2/3 terytorium. Do dziś żywą traumę opisuje się tu w języku, który dla turystów z Polski może brzmieć znajomo – jednak aktualność historii sprzed prawie wieku nawet ich zaskakuje. Słabością tekstów poświęconych tej części wystawy jest brak charakterystyki autorytarnych rządów regenta Mikłosa Horthyego i choćby szkicowego przedstawienia genezy węgierskiej partii faszystowskiej.

Duże wrażenie robi sala dotycząca obozów pracy przymusowej w ZSRR. Ściany wyłożono drewnem, a pomiędzy deskami imitującymi ściany wagonu kolejowego umieszczono ekrany, na których wyświetlane są na przemian wspomnienia deportowanych i widoki, jakie mogły ukazywać się ich oczom podczas jazdy pociągiem. Zwiedzający przechadzają się po dywanie, który jest równocześnie mapą archipelagu gułag. W odwróconych stożkach, których wierzchołki wskazują lokalizacje na mapie, znajdują się pochodzące z tych miejsc eksponaty – pamiątki po więźniach obozów. Jest to przykład wyjątkowo udanego wyeksponowania autentycznych przedmiotów z epoki, których w muzeum nie ma zbyt wiele. Szkoda, że goście nie mają okazji poznać osobistych historii związanych z tymi pamiątkami – opatrzone je tylko krótkimi podpisami, w dodatku jedynie po węgiersku. Typowa dla Domu Terroru jest następna sala, operująca skrótem i metaforą. Na wyświetlanym w niej teledysku ukazano symboliczną „zmianę stroju” – z uniformu strzałokrzyżowca na mundur członka komunistycznej policji politycznej. Z komentarza dowiadujemy się, że wielu niższych

rangą członków węgierskiej partii faszystowskiej zasiliło szeregi partii komunistycznej, składając wcześniej deklarację dotyczącą ich przeszłości i lojalności wobec nowego systemu.

Kolejne pomieszczenia poświęcono osobom lub instytucjom współodpowiedzialnym za terror komunistyczny (sowieckim doradcom, policji politycznej, jej szefowi Gaborowi Peterowi, wymiarowi sprawiedliwości) oraz różnym rodzajom represji (jak deportacje, obozy czy terror związany z kolektywizacją) i ich ofiarom (ruch oporu, Kościoły różnych wyznań). Wystawa oddziałuje na widza przede wszystkim za pomocą wystroju sal i wyrazistych symboli – trudniej czerpać z niej pogłębioną wiedzę na temat okresu, którego atmosferę chce nam przekazać. Najwięcej informacji znajduje się na kartkach, które zwiedzający mogą znaleźć w każdej z sal wystawy. Taka kolekcja stanowi pigułkę historycznej wiedzy, którą można zabrać ze sobą do domu. Szkoda tylko, że projektując wystawę, nie pokuszono się o większe zintegrowanie tradycyjnej narracji z mniej lub bardziej multimedialnymi efektami. Dzięki skondensowaniu treści w wyrazistych obrazach i na małych tabliczkach z podstawowymi informacjami oglądanie ekspozycji nie dłuży się, a zwiedzający nie czuje się zmęczony zalewem faktów i liczb. Jednak w co najmniej kilku miejscach wyraźnie brakuje obszerniejszego komentarza - chociażby w sali obrazującej specyfikę życia codziennego w realnym socjalizmie, którą w impresjonistyczny sposób próbuje oddać kolaż plakatów i przedmiotów z epoki. Niewiele dowiadujemy się również o przeznaczeniu poszczególnych pomieszczeń w piwnicach. Pozostawia to wrażenie pewnej powierzchowności w potraktowaniu tematu, której można by uniknąć, projektując wystawę bardziej warstwowo i pozostawiając zwiedzającym wybór, w które z zagadnień chcą się bardziej zagłębić.

Dom Terroru to muzeum „wielkiej narracji”, w której brak miejsca na niuanse – a mimo to broni się ona jasnym przekazem, wzywając do tego, by szukać w historii wzorców etycznych postaw i pod żadnym pozorem nie zapominać o zbrodniach z przeszłości. Trudno dyskutować z zarzutem, że wystawa wzbudza przede wszystkim nienawiść do oprawców. To, jakie uczucia pozostaną w nas po wizycie w muzeum, pozostaje w dużej mierze sprawą indywidualną. Z pewnością nikt nie uchyla się tu od pytania o winnych ukazywanych nam okrucieństw – w jednej z końcowych sal wystawy wyeksponowano zdjęcia członków aparatu represji. Na tablicy z komentarzem widnieje zdanie o osobistej odpowiedzialności za swoje czyny, od której nie uwalnia ani chwalebna przeszłość ani dalsze przykładowe życie.

Dom Terroru to – podobnie jak Muzeum Powstania Warszawskiego – nie tylko placówka edukacyjna, ale i pomnik. Oddaje hołd ofiarom dwóch brutalnych reżimów, choć uwaga twórców wystawy skupia się przede wszystkim na opresji komunistycznej, która dłużej była tematem tabu i wciąż budzi duże emocje. Skoncentrowanie się na okresie do 1956 roku pozwala na wyostrenie tezy o totalitarnym charakterze komunistycznego systemu, która najlepiej broni się właśnie w stosunku do tego czasu. I choć w nauce akademickiej często odchodzi się dziś od teorii totalitaryzmu, uznając ją za coraz mniej płodną naukowo, w powszechnym obiegu pozostaje ona ciągle najbardziej nośną i zrozumiałą formą opowieści o historii dwudziestego wieku. Zwłaszcza w Europie Środkowo-Wschodniej, która doświadczyła na ogromną skalę obu odmian totalitaryzmu i do dziś odczuwa ich konsekwencje na wielu płaszczyznach. Ten nacisk na podkreślanie podobieństw obu systemów łączy budapeszteńską

placówkę i MPW, które przygotowuje się właśnie do otwarcia w piwnicach Ministerstwa Sprawiedliwości muzeum stalinowskiego terroru.

Joanna Kalicka